

Rok 2018

SIERPIEŃ

– Boże, jaka ja jestem prawie szczęśliwa – powiedziałam do siebie w poniedziałek rano. Tak zaczynałam codzienną modlitwę do swojego osobistego Boga. Nie osobistego w sensie, że mój i nikomu nie dam, tylko takiego, którego sobie wyobraziłam na własne potrzeby. Był bardzo inteligentny i miał czarne poczucie humoru. Z twarzy był całkiem podobny do dziadka Konstantego, ojca mojego ojca, nieżyjącego od dawna męża babci Wisi.

Jako dziecko z jakiegoś powodu byłam święcie przekonana, że babcia zamordowała dziadka. Nie pamiętam, skąd w ogóle przyszło mi to do głowy, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że babcia sama mnie wkręciła. To zupełnie w jej stylu. Nie było niczym nadzwyczajnym, że w to uwierzyłam, dzieci uwielbiają sensacje. Dopiero jako dorośli zaczynamy podejrzewać, że życie jest bardziej prozaiczne, niż byśmy sobie tego życzyli. W każdym razie nie to było dziwne, że uwierzyłam w morderstwo dziadka, ale to, że wcale nie wydawało mi się to straszne, ot zwykła informacja.

Nie byłam zbytnio związana z dziadkiem Kostkiem, nie pamiętam, żebyśmy robili coś razem, pamiętam za to jego posępne oblicze. Nie mam pojęcia, dlaczego mój mózg uznał, że Bóg, który powinien być niezwykle błyskotliwy, a nawet genialny, miałby wyglądać posępnie. Jeśli komuś pasuje taka sprzeczna, z lekka nonsensowna wizja i nie ma pomysłu na oblicze Pana, służę zdjęciem dziadka.

Wracając.

– Boże, jaka ja jestem prawie szczęśliwa. – Tak zaczynałam swoją codzienną modlitwę, którą odmawiałam od dnia, gdy sobie to moje prawie szczęście uświadomiłam. A było to jakieś dwa i pół roku temu, niedługo po tym, jak pod knajpianym śmietnikiem odrzuciłam oświadczyzny Waldka. Nie widziałam go od tamtego czasu, nie miałam pojęcia co u niego słyszeć, jak sobie życie ułożył, jeśli w ogóle. W układaniu nie był najlepszy, nawet koszulki w szafie i skarpetki w szufladzie układała mu babcia.

Jeśli chodzi o mnie, to daleko nie zaszłam, w sensie lokalizacji. Wciąż mieszkalam na Jeżycach, za to z Wojtkiem, którego z kolei oświadczyń nie odrzuciłam, i tym sposobem stałam się klasyczną szczęśliwą mężatką. A *Knajpa* pod moimi rządami nabierała charakteru.

– A dlaczego prawie szczęśliwa? – zapytał Bóg w mojej głowie.

– Bo zostawiam sobie rezerwę, na wszelki wypadek, gdyby coś mogło być lepiej. Może jest blisko ideału, ale zawsze jest jakieś „ale”. Żeby nie było, że narzekam, nic z tych rzeczy, po prostu lubię mieć zapas. Ponoć dobra gospodyni zawsze ma coś w zapasie.

– Taaa, martwienie się na zapas, to masz na pewno.

– Lepiej na zimne dmuchać, niż się gorącym sparzyć. – Ja.

– A co z pozytywnym myśleniem? – Bóg.

– Ależ ja myślę pozytywnie, nawet bardzo. Zostawiam sobie margines szczęścia na jakąś chwilę glorii i chwały, może jakieś nagrody będę odbierać albo co?

– Jakie nagrody? W konkursie o Złotą Patelnię? – zakpił.

– Nie wiadomo, czy do końca życia będę się zajmowała *Knajpq* – zachnęłam się.

– Właściwie to wiadomo – oświadczył, ziewając.

– Tak? – Wzbudził moje zainteresowanie. Kto nie chciałby znać własnej przyszłości. – I co? Będę?

– Pożyjemy, zobaczymy – stwierdził filozoficznie. – Bądź sobie zatem prawie szczęśliwa. Pamiętaj tylko, że jedynie ty sama masz na to wpływ, nikt więcej.

– Łatwo się mówi. Czasem wydaje mi się, że lepiej być nie może, a gdy już jestem prawie pewna, że wszystko jest na swoim miejscu, zaczynam mieć wątpliwości. I dopada mnie niepokój – zwierzyłam mu się.

– Taka ludzka natura, takimi was stworzyłem i bardzo z tego jestem dumny. – Puszył się jak zwykle. – Na tym to polega, jak już nabierzesz pewności, że wszystko jest idealne i nie trzeba niczego zmieniać, to będzie znaczyło, że umarłaś.

– Nie wszystek umrę – odpowiedziałam odruchowo, bo mi się skojarzyło, chociaż w tym kontekście było to zupełnie bez sensu. Chyba chciałam się przed Nim popisać, że coś tam jeszcze pamiętam z liceum.

Na tym skończył się mój poranny wewnętrzny dialog, będący przecież monologiem.

Poza zmianą miejsca zamieszkania, zmianą partnera i wyjściem za mąż, coś jeszcze zmieniło się w moim życiu na lepsze: sprawiłam sobie rower. Stary, zardzewiały, bez świateł, których nabycie przekładałam z dnia na dzień. Nie zabierałam się za to, bo myślałam, że łączy się z jakimś skomplikowanym montażem i będę musiała kogoś prosić o pomoc. Później ktoś mi uświadomił, że jak kupię takie małe z silikonowym uchwytem, to sama sobie poradzę. Ta wiadomość poprawiła mi humor, ale nijak nie przyspieszyła zakupu. Rower nabyłam przez internet, to znaczy ogłoszenie wisiało w internecie, poszłam po niego pieszo, a wróciłam już na nim. Powiedzieć, że od tego dnia byliśmy nierozłączni, byłoby wielką przesadą, miasto jeszcze nie było gotowe na takie romanse, bywało, że ścieżki rowerowe urywały się w środku niczego,

po chodnikach nie można było jeździć, a po brukowanych ulicach, po których śmigały samochody, nie bardzo miałam odwagę.

Moją ulubioną trasą była ta nad Rusałkę. Uwielbiałam obserwować, jak krajobraz zmienia się z miejskiego w wakacyjny. Gdy byłam mała, latem jeździliśmy z rodzicami do Skoków i zapach tamtego jeziora na zawsze wrył mi się w głowę jako tło bez troski, wolności, swobody, nicnierobienia. Inni jeździli nad morze, my nie, pewnie dlatego z niczym mi się nie kojarzyło. Morze było mi zupełnie obojętne, a pocztówkowe zachody słońca uważałam za kiczowate.

Jeżyce stanowiły idealną lokalizację dla mnie, kochającej rybi zapach sitowia: po piętnastu minutach pedałowania byłam nad jeziorem. Nie stawkiem w parku czy inną kałużą; Rusałka to było regularne jezioro z plażą, pomostem, wypożyczalnią sprzętu wodnego, kawiarniami, placem zabaw, lasem dookoła i ponoć nawet nudystami, chociaż żadnego nigdy nie spotkałam, niestety. Objeżdżałam Rusałkę, zaciągając się zapachem lasu. Było to zajęcie bardzo relaksujące i inspirujące zarazem, odpoczywałam i otwierałam się na nowe pomysły dotyczące *Knajpy*. Tak, w czasie wolnym myślałam o pracy, ale nie przeszkadzało mi to, już nauczyłam się, że jedyna słuszna praca to taka, która sprawia przyjemność. Cieszyło mnie wszystko, co było do zrobienia w *Knajpie*: planowanie, zamawianie towaru, organizacja, koordynacja, dbanie o personel, układanie menu, dekorowanie ścian, próbowanie potraw, popijanie dobrego piwa i rozmowy z klientami. Bywały momenty gorsze i trudne, ale ogólnie czułam, że stworzyłyśmy z Grażyną miejsce z dobrą energią. Oczywiście nie tylko o pracy myślałam podczas rund wokół Rusałki. Narzekałam w myślach na rodziców, martwiłam się o babcię i obgadywałam koleżanki. Również tego dnia myślałam o tym wszystkim na raz, wspominając poprzedni dzień.

To była niedziela i rodzice zaprosili mnie na obiad. Pomimo tego, że warunek kościelny już mnie nie obowiązywał, wciąż podskórnie czułam presję, żeby się u nich regularnie pojawiać. Czasem, gdy naprawdę nie miałam ochoty, wykręcałam się, ale tym razem czułam, że chcę ich odwiedzić. Podczas obiadu niewiele się wydarzyło. Mama przygotowała kotlety z kurczaka, nie chciała nawet słuchać o tym, że staram się nie jeść mięsa.

– Ty się musisz dobrze odżywiać, tak ciężko pracujesz – zdecydowała.

– Mamo, dobre odżywianie wcale nie oznacza jedzenia mięsa, wręcz przeciwnie, ostatnie badania wyraźnie mówią o jego szkodliwości. – Próbowałam się buntować.

– Bzdury, te badania zleca na pewno jakieś lobby wegetariańskie – stwierdziła autorytatywnie. – Ludzie od zawsze jedli mięso, a teraz wydziwiają, że dobrze mają.

– Nawet jeśli, to już pomijając kwestie etyczne – próbowałam walczyć – to nie jest to samo mięso, co kiedyś, słyszałam, że kurczaki faszerują jakimiś antybiotykami, czy innym świństwem.

– A tam, jakby człowiek miał tak patrzeć na wszystko, to nic byśmy nie jedli, wszystko faszerują. Przełożyłam cebulą, tak jak lubisz, jedz, przecież nie może się zmarnować.

Poddałam się, jak zwykle, dla świętego spokoju. Kotlety niestety były przepyszne.

Ojciec jadł w milczeniu, tylko raz się odezwał.

– W kościele byłaś?

– Nie... mówiłam przecież, że nie będę chodzić.

Ojciec otworzył usta, jakby planował wygłosić jedno ze swoich kazań, ale natrafiwszy na karcące spojrzenie mamy, ostatecznie tylko westchnął i do końca obiadu już nic nie powiedział.

Później była obowiązkowa kawa z fusami i dość suche ciasto drożdżowe, które w lodówce zdołało przejść zapachem kiełbasy. W pewnym momencie mama wysłała ojca ze śmieciami, a on ochoczo wstał i wyszedł, jakby tylko na to czekał.

– Heniu, martwię się – szepnęła konspiracyjnie mama, jak tylko drzwi się za nim zamknęły.

– Czym znowu? – westchnęłam, nauczona, że powody jej zmartwień są często wyssane z palca.

– Ojcem.

– Dlaczego? – Udałam zainteresowanie, siorbiąc fusy.

– Bardzo zmarkotniał, nie zauważyłaś?

Hmm... nie. Mój ojciec był markotny odkąd pamiętam.

– Tak, faktycznie, gdyby się nad tym zastanowić... – przytaknęłam dyplomatycznie.

– No widzisz! – triumfowała. – Powiem ci, dlaczego.

– Słucham.

– Bo on martwi się o babcię.

Teraz na serio się zdenerwowałam.

– O babcię? A co z babcią?

– No właśnie nic.

Aha.

– Jeśli nic, to czym się martwi? – Próbowałam zrozumieć pokrętną logikę mamy.

– No nic, bo ona nic nie da sobie powiedzieć, jest uparta jak osioł! – zirytowała się. – Na pewno jej coś dolega, ale na nic się nie skarży, na pewno nie chodzi do żadnego lekarza. Na teatry i inne głupstwa ma czas, ale żeby zadbać o swoje zdrowie, to już nie.

– Mamo, nie wiem, czy dobrze rozumiem: babcia na nic nie narzeka, świetnie się bawi, więc ojciec się o nią martwi, a ty martwisz się o ojca?

– No tak! – Wydało jej się to oczywiste.

Mnie zupełnie nie.

– Przecież to bez sensu.

– Wcale nie, to jego matka. I nie jest coraz młodsza, a jeśli jest na coś chora, to nic nie powie, będzie to ukrywać, na złość mi, żebym się martwiła!

– Ale to nie ty się martwisz, tylko ojciec.

– A ja się martwię o niego – skwitowała.

I kółko wzajemnej adoracji się przymknęło. Zamknąć się zupełnie nie mogło, bo ja byłam słabym ogniwem. Z jednej strony nie bardzo chciałam uczestniczyć w tym zamartwianiu się na zapas, z drugiej mama zasiała we mnie ziarenko niepewności – a co, jeśli babci Wisi faktycznie coś dolega? Przecież ona nigdy się na nic nie skarżyła, czy to możliwe, że w tak sędziwym wieku, popijając alkohol i paląc, odżywiając się byle jak, wciąż była zdrowa i zupełnie nic jej nie szwankowało?

Nie zdołałyśmy dalej się rozwodzić nad tym kto i czym powinien się martwić, bo wrócił ojciec z wiadrem. To było osobliwe, rodzice nie używali worków do śmieci, tylko wykładali wiadro starymi gazetami i ojciec, chcąc wyrzucić odpadki, musiał brać ze sobą całe wiadro. Wykluczało to wyrzucenie śmieci po drodze, bo przecież trzeba było wiadro przynieść z powrotem do domu. Z drugiej strony, dzięki temu ojciec miał przynajmniej jakieś zajęcie i to ołsdkulowe rozwiązanie było w zasadzie bardzo ekologiczne.

Mama jak zwykle zajęła się pakowaniem jedzenia dla mnie do słoików. Nie docierał do niej argument, że już umiem gotować, przecież zarządzam *Knajpą* i odpowiadam za menu!

– To nie to samo – upierała się – inaczej się gotuje w domu, a inaczej dla ludzi. Przy czym to „dla ludzi” zabrzmiało w jej ustach jak „dla norek”. Nie wiem, dlaczego akurat norki mi się skojarzyły.

– Jak inaczej? Używamy przecież najlepszych produktów, wszystko ma być po domowemu, nie robimy żadnej kaszany! – oburzyła się.

– O, dobrze, że przypomniałaś, kupiłam za dużo kaszanki, dam ci kilka.

I do siatki ze słoikami dorzuciła jeszcze kilka kaszanek. Świetnie, jeżyckie koty się ucieszą, albo odwiedzę moich dawnych współlokatorów i uszczęśliwię psa Stacha.

Gdy wychodziłam od rodziców, przyszło mi do głowy, że gdyby Magda Gessler słyszała poglądy mojej matki na temat prowadzenia *Knajpy*, ukręciłaby pętlę z własnych włosów i się na niej powiesiła. Albo moją matkę. Na szczęście matka żadnej knajpy nie zamierzała prowadzić, a nadprodukcją żywieniową regularnie zapychała moją lodówkę.